

Ucieczka od Cienia: Historia Upadku i Odrodzenia.

To był dzień jak każdy inny, ale w moim umyśle nawarstwiały się gniewne myśli o przyszłości. Żyłem w mieście, gdzie miłość i szczęście miały swój urok, lecz moje życie toczyło się jak nieustanna walka z własnymi demonami. Wszystko, co przeżyłem do tej pory, było inne, trudne do zrozumienia. Jestem człowiekiem, którego przeszłość pełna jest zarówno bólu, jak i niezapomnianych chwil. Staram się żyć normalnie, choć lata temu – może pięć, może sześć – byłem na krawędzi, ledwie oddychając, trwałem, idąc na skraj śmierci, uwięziony w piekle, które sam sobie stworzyłem. Teraz wiem, jak wiele mnie to kosztowało.

W tamtych czasach życie wydawało się rozpadać na moich oczach, niczym kij gnijący od środka. Czas płynął, a ja błdziłem, podejmując irracjonalne decyzje. Uciekałem w nałogi, które pochłaniały lata, miesiące, dni – całą wieczność. Wiedziałem jednak, że muszę uciec – nie tyle z miejsca, w którym żyłem, ile od samego siebie.

Pewnego letniego poranka obudziłem się z myślą, że nie przetrwam kolejnej zimy, że wszystko się skończy. Wokół mnie panował chłód, brud i rozpacz. W pokoju, w narożniku przy komodzie, stała czarna walizka, do której spakowałem resztki swoich rzeczy. Wyszedłem z mieszkania i ruszyłem na przystanek autobusowy. Tak zaczęła się nowa historia mojego istnienia.

Droga była wyboista. Wyjechałem do Wrocławia, gdzie poznałem grupę mężczyzn. Noc, którą z nimi spędziłem, przypominała koszmar – libacja alkoholowa, kokaina, inne narkotyki, litry wódki i piwa. Nic nie mogło mnie oszczędzić w tamtym momencie, a jedynie pogрузić mnie w jeszcze głębsze komplikacje. Jeden z nich miał przy sobie duży, ostry nóż kuchenny z połamaną, drewnianą rękojeścią. Scena ta była pełna grozy i lęku. Krążyliśmy bez celu po mieście, a Wrocław stawał się nocną kryjówką. W pewnym momencie dotarło do mnie, że ta noc mogła skończyć się więzieniem albo śmiercią – nieszczęściem nie tylko dla mnie, ponieważ stanowiliśmy zagrożenie. Cudem udało mi się wyrwać z tego towarzystwa. Gdy już opuściłem ich kleszcze, ruszyłem na dworzec PKP. Pociąg zabrał mnie do Krakowa. Od tamtej chwili tu mieszkam, walcząc o nową przyszłość.

Kraków przywitał mnie chłodno. Obce miasto, brak mieszkania, kilka groszy w kieszeni i głowa pełna pesymistycznych myśli. Jeździłem tramwajami bez celu, od przystanku do przystanku, szukając odpowiedzi na różne pytania. Najgorsze było to, że zaczynała ujawniać się moja choroba dwubiegunowa. Pamiętam tamten moment we Wrocławiu, gdy szukałem hostelu. Nagle, jakby znikąd, pojawił się samochód – ledwo uniknąłem śmierci; omal mnie nie potrafił. Pędził jak szalony. A ja, w ciągu nocy i za dnia, szukałem noclegu, ale wszędzie mi odmawiano – być może z powodu mojego zmęczonego, wyczerpanego i zniszczonego przez życie wyglądu.

Chcę jeszcze wspomnieć o innej historii, która wydaje mi się ważna. Kilka miesięcy przed moją ucieczką spotkałem się z przyjaciółmi w moim mieszkaniu. Było nas czterech – ja, dwóch kolegów i dziewczyna jednego z nich. Alkohol, narkotyki, szaleńcza muzyka – noc pełna chaosu i dziwnych rozmów. W pewnym momencie, w przypływie emocji, chwyciłem jednego z nich za rękę i spojrzałem mu prosto w oczy. Łzy zaczęły spływać mi po twarzy, a ja powiedziałem coś, czego nigdy nie zapomnę:

– Gierek – tak go nazywaliśmy – popatrz mi w oczy i posłuchaj. Pamiętaj, że to, co teraz ci przekażę, jest

bardzo ważne. Słuchaj, ktoś cię w tym roku zabije, albo zginiesz pod kołami samochodu.

Zaskoczony zapytał:

– Dlaczego?

Nie potrafiłem mu odpowiedzieć. Po chwili, jakby odwdzięczając się za te słowa, chwycił mnie za dłoń i powiedział:

– Ty umrzesz w wieku 86 lat, na raka.

Kilka miesięcy później, gdy zamieszkałem na Kazimierzu, dowiedziałem się, że Gierek został zamordowany. Osiem miesięcy po tamtej nocy zginął. Miał jechać ze mną do Wrocławia, ale zgubił dowód, więc nie pojechał. Czasami zastanawiam się, co by było, gdybyśmy wtedy pojechali razem.

Z biegiem lat straciłem wielu przyjaciół. Czasami myślę, czy warto walczyć dalej, czy lepiej pogodzić się z cierpieniem, które i tak nas czeka. Może jednak warto, bo moje "ja", tak jak twoje, jest przejawem woli życia.

SEN.

W mroku wędruję, szukając światła. Krok za krokiem zbliżam się do kresu sił, czasem staję się słaby, bezradny, jakby czas ulatywał, pozostawiając mnie w bezlitosnym upływie. Umieram powoli z każdym krokiem, choć nadal idę, trzymając dłoń kobiety, którą postawił na mojej drodze los. Los, tajemniczy i nieubłagany, dał mi ją aż po kres. Razem kroczymy w miłosnej intrydze, szaleństwie aż po granice życia i śmierci.

Straciłem jednego z kolegów. Początkowo, gdy informowano mnie o śmierci kolejnych przyjaciół, liczyłem straty – skończyłem na liczbie szesnastu. Teraz zostało ich niewielu. Wiem jedno: gdybym nie zdecydował się na wyjazd, na odejście z miejsca, które znałem, nie byłoby mnie z wami. Życie to gra, tak uważam teraz. Mieszkam w dużym mieście, gdzie obyczaje są inne. Wszystko dzieje się szybciej, atmosfera jest bardziej napięta. Ludzie nie ufają sobie, a prawdziwi przyjaciele to rzadkość. Żyję jakby w skorupie, z kobietą u boku. To rodzaj izolacji społecznej, ale nie żałuję swojego wyboru, ponieważ mamy swój świat. Właściwie mamy go oboje, dotknięci ogniem.

Mój wybór był słuszny, bo uchronił mnie przed samo destrukcją. Życie jest dla mnie walką o przetrwanie. Moja historia, choć pełna mroku i melancholii, ma sens – sens, który nadaje mi wyobrażenie przyszłości. Jestem człowiekiem, który przeszedł przez wiele spraw trudnych do zrozumienia. Może ktoś pomyśli, że uciekłem, ale ja widzę w tym wędrowkę w poszukiwaniu prawdy.

Czasem mam wizje, które przenikają mój umysł – bodźce są gwałtowne, jak ta wizja przyjaciela, którego straciłem. Prowadzą mnie przez drogę życia. Jestem jak cień – cichy, małomówny. Dostrzegam wiele, ale zatrzymuję to dla siebie. Odczucia pozostają we mnie.

Miasteczko, w którym mieszkałem, było małe, otoczone zielenią i jeziorami. Stało się wspomnieniem, choć część mnie tam pozostała. Zawsze będę do niego należał, nawet jeśli teraz rzadko tam bywam. Dziś żyję w Krakowie, jestem częścią jego społeczności.

Każdego dnia próbuję odrodzić się na nowo, choć w głębi duszy niewiele się zmieniło. Codziennie rano

powtarzam swój rytuał – śniadanie, tabletki, Anticol, gdy czuję, że upadam. Nie zapomniałem, kim jestem – że jestem Anonimowym Alkoholikiem.

Łzy spływają po moich policzkach, gdy w snach widzę ojca. Z biegiem lat dostrzegam w sobie coraz więcej jego cech i zaczynam rozumieć, dlaczego moje życie toczy się w taki, a nie inny sposób. Śmierć kiedyś przyjdzie po nas wszystkich, ale mimo tej świadomości walczę o każdy dzień.

Każdy z nas nosi w sobie swoją historię, lęki i pragnienia. Czasem te doświadczenia bolą tak bardzo, że wątpimy, czy mamy siłę iść dalej. To właśnie one kształtują nas i formują to, kim stajemy się w trakcie życia.

Czy boję się śmierci? Byłbym naiwny, gdybym nie odczuwał tego lęku. Myślę, że wynika on z mojej silnej więzi z obecnym światem i jego materialnym wymiarem. Mimo że kilka razy byłem blisko jej oblicza – na granicy życia, zarówno z powodu przedawkowania, jak i niejasnej zapaści – wciąż jestem głęboko przywiązany do życia.

Czy wierzę w Boga? W życie po śmierci? Wierzę w życie wieczne, ale takie, które ma głębokie korzenie w rzeczywistości. Czasem skłaniam się ku myśli o reinkarnacji, bo wydaje mi się, że nie zdążę naprawić wszystkich błędów, które popełniłem, w tym krótkim czasie na ziemi. Moje rozważania mogą wydawać się małostkowe lub obłudne, ale jedno wiem na pewno – sąd ostateczny czeka każdego z nas. Śmierć to jedyna sprawiedliwość, która dosięgnie każdego człowieka. Zawsze jest blisko, choć często staramy się o niej nie myśleć. I tak, boję się jej. To naturalne.

A jednak w tym strachu czuję czasem coś egoistycznego – lęk przed utratą tego, co znam, tego, co stworzyłem. Moje życie, chociaż nie zawsze bezbłędne, wyraża coś głębszego, coś ludzkiego. Co robię w obliczu tego strachu? Dzielę się sobą, swoją pasją, tym, co mam.

Teraz, by na chwilę oderwać się od tych rozważań, napiszę wiersz o wieczności. Może pozwoli mi to na moment zamilknąć.

Pieśń Wieczności

Byłem tworem stworzonym z głębin wszechświata,
Ciałem, które rosło pod boskim spojrzeniem,
Bogiem, którego oddech kształtował czas i przestrzeń.
Świat był moją torą, językiem pradawnych słów,
A ja płynąłem po nim, ponad falami zmysłów.

Słyszałem gwarę nieskończoności w toniach morskich,
Które opowiadały historie zapomniane przez ludzi.

Wzrastałem z ziemi, byłem kwiatem na wietrze,
Deszczem, który karmił korzenie, wiatrem, co kołysał liście.
Byłem gwiazdą, co z nieba patrzyła na świat umarłych,
Mrokiem, co cicho kładł się na duszach nieświadomych.

Światło biło ze mnie, rozświetlało przestrzenie,
A cienie towarzyszyły mi jak nieustające echo.

Dziś, po eonach, staję się piaskiem,

Rozsypanym przez dłonie czasu na pustyniach wspomnień.
Jestem ziemią, co pochłania pamięć,
Prochem, wirującym na wietrze zapomnienia.
Ciało mroku wciąż krąży wokół mnie,
Tak jak śmierć obejmuje życie w wiecznym tańcu.
Ale wieczność nigdy mnie nie opuściła.

Zawsze wiedziałem, że dłoń śmierci
To tylko kolejny etap.
Kwiat, który zakwitnie,
I pęd, co przebije ziemię,
Będą nowym początkiem w cyklu bez końca,
Którego nikt nie jest w stanie przerwać.

Wspomnienia są trudne do analizy, ponieważ jest ich tak wiele. Mój umysł wypełniony jest myślami, których nie potrafię wytłumaczyć. Między moim życiem a czasem, kiedy przeszedłem przemianę, pojawiła się cząstka wartości, którą można nazwać darem przewidywania.

Czasami słyszę głosy wypowiadające imiona i słowa, które prowadzą moją intuicję. Ludzie często uważają mnie za ubożego w słowa, ponieważ milczę i rzadko się wypowiadam. Czy się mylą? A może mają rację? Może żyją w części świata, która nie należy do nich. Wydaje mi się, że są zamknięci w swoich ciasnych przestrzeniach. Moje milczenie pozwoliło mi dostrzec słodycz myśli i zrozumieć, że wszystko, co było, powróci z nowym ładunkiem. Ktoś kiedyś wspominał o karmie, mówiąc, że powraca. I to prawda. Karma wraca ze zdwojoną siłą. Żyj tak, aby mieć pewność, że kroczysz ścieżką sprawiedliwości.

Dlaczego teraz mówię, wyrażając swoje emocje i świadomość? Bo jestem człowiekiem szczerym i staram się pozostać takim. Kiedy dotkniesz końca, ujrzysz początek – stan świadomości odsłoni przed tobą wszystkie tajemnice oraz całe spektrum doświadczeń, zarówno twoich, jak i innych.

Odchodząc od tego tematu, wkraczam w głębsze rozważania filozoficzne. To tylko wstęp do opowieści o mnie. Dlaczego wspominam o przyjacielu, który został zamordowany? Pozwól, że opowiem ci tę historię.

Latem 2004 roku, w małym miasteczku, w którym kiedyś mieszkałem, spotkałem dwóch mężczyzn w tawernie o nazwie Galery. Jeden z nich podszedł do mnie i poprosił, bym usiadł przy ich stoliku. Zgodziłem się. Chwycił mnie za rękę i zapytał: „Czujesz to?”. Odpowiedziałem: „Tak, czuję”. Przez jego dłoń przepływała dziwna, enigmatyczna energia, która dotarła aż do mojego ramienia. Mężczyzna puścił moją rękę i powiedział: „Poczuliśmy cię. Przyjechaliśmy, by przekazać ci kilka słów”. Były to słowa, których nigdy nie zapomnę, tak jak nie zapomnę tego mężczyzny. To on obdarzył mnie przesłaniem, którego znaczenie zrozumiałem dopiero po latach. Tak zaczyna się moja opowieść, która dopiero się rozwija.

Młodość w Krakowie to czas, kiedy literatura stała się nie tylko moją pasją, ale również sposobem na zrozumienie samego siebie i otaczającego mnie świata. Moje pisarstwo często było chaotyczne i pełne sprzeczności. Teksty, które tworzyłem, odzwierciedlały nie tylko moją wewnętrzną walkę, ale także poszukiwanie sensu wśród burzliwych emocji. Słowa były moim schronieniem, sposobem na uchwycenie ulotnych myśli i dzielenie się nimi z innymi, co stanowiło dla mnie formę komunikacji z rzeczywistością.

Wspomniany mężczyzna, który przepowiedział mi przyszłość, stał się symbolem nadziei w moim życiu. Jego słowa były dla mnie niczym latarnia w ciemności. Choć ich sens początkowo był dla mnie niejasny, z czasem zrozumiałem, że każdy z nas nosi w sobie moc kreowania własnej przyszłości.

Moje doświadczenia z uzależnieniem, które rozpoczęło się w wieku czternastu lat, nie były łatwe. Na początku były to beztraskie chwile z alkoholem i marihuaną, które z czasem przerodziły się w niebezpieczną wędrówkę przez świat amfetaminy i stymulantów. W tej drodze szybko odkryłem, jak łatwo można zatracić się w mroku. Pierwsza ponarkotyczna psychoza, której doświadczyłem, była szokiem. Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat i czułem, że mój świat się zawalił. Diagnoza zaburzenia dwubiegunowego była dla mnie jak wyrok, ale także punktem zwrotnym. Walka z uzależnieniem była żmudna i pełna porażek, jednak wciąż szukałem sposobów, by się z tego wyrwać.

Spotkanie z moją pierwszą żoną, która również pochodziła z Krakowa, otworzyło przede mną nowe możliwości. Udało mi się odnaleźć siebie na nowo i zbudować życie od podstaw, co trwało przez sześć lat. Był to czas remisji, w którym odkrywałem, jak wiele mogę osiągnąć, gdy nie pozwalam, aby uzależnienie kontrolowało moje życie. To ona była moim największym wsparciem, a nasza miłość przypominała mi, że w każdej ciemności jest szansa na światło.

Pisanie stało się moją formą terapii. Każde zdanie, które tworzyłem, było krokiem ku uzdrowieniu – próbą uporządkowania myśli i emocji, które przez lata były chaotyczne. Chciałem, aby moje doświadczenia były przestrogą dla innych, by nie musieli przechodzić przez piekło, które ja przeszedłem. Postrzegam uzależnienie jako chorobę, ale dostrzegam w sobie siłę, by z nim walczyć i dzielić się swoimi doświadczeniami.

Dziś, gdy patrzę wstecz, widzę, jak wiele się zmieniło. Moje pisanie, choć nie zawsze spójne, stało się moim głosem w świecie. Każde słowo, każda opowieść, którą spisuję, to hołd dla przeszłości, ale i testament nadziei na przyszłość.

W poszukiwaniu prawdy.

Ja, jawą idealną — cieniem, cimą,
co w blasku nocy trwa niezmienna,
uniesiona w tańcu wiatrów,
które szeptem do uszu przekazują
zapomniane opowieści.
Klątwą ku skupieniu ducha
jest promień światła,
który przecina mrok, budząc lęk,
gdyż ja sam — grzechem jestem,
w strumieniu krwi, w labiryncie myśli,
w nieustannym poszukiwaniu prawdy.
Życie z wiatrem tańczy,
w rytmie chwil nieuchwytnych.
A ja żyję tam, gdzie mój wzrok
purpurową otchłań wyznaje
jako trwogę istnienia.
Czas w bezkresie rozciąga swe skrzydła,

dni stapiają się z nocami bez końca,
a ja — modłę się krzyżem
na drewnianej podłodze jak święty Piotr,
wołając upragnioną miłość,
co przeszłość z terażniejszością splata
w sercu cichym i pokornym,
gdzie echo modlitwy niesie się przez wieki.
Jestem boleścią ducha świętego,
świadomością, która stała się jawą,
wyobraźnią umarłego,
demonami przeszłości,
co w sercu mym krążą,
szukając odkupienia.
W ogniu, co spala kłamstwa,
prawdę odnajduję.
Ja ziemią i ogniem,
a moje tęczówki przenikają
wszystkie myśli świata.
W ich labiryntach szukam sensu,
odpowiedzi na pytania,
które nieustannie w duszy krążą.
Niech światło w moim wnętrzu jaśnieje,
niech cień odejdzie,
niech éma zniknie
w objęciach nadziei,
gdzie grzechy wylewają się jak rzeka,
a ja — w ich nurcie odnajduję
spokój istnienia.

Niemal umarłem, trwoniąc czas na poszukiwanie odmiennych stanów świadomości, próbując zapomnieć o stracie — stracie słów miłości, które kiedyś były dla mnie sensem istnienia. Stałem się nikim. Moje życie przypominało wędrówkę przez ciemny tunel, bez wyjścia i bez końca. Każdy dzień wydawał się pozbawiony celu, a każde działanie — sensu. Nawet słońce, które kiedyś przynosiło ulgę, teraz raziło mnie swoim blaskiem. Noce stawały się przerażającym schronieniem, gdzie jedynymi towarzyszami były cienie.

Czułem się dobrze tylko wtedy, kiedy spałem. Sen stawał się ucieczką, momentem, w którym zmysły odchodziły ode mnie, a ja przestawałem czuć ból istnienia. Duchowa boleść była nie do zniesienia, a kiedy wracałem do trzeźwości, myśli nieubłaganie pchały mnie z powrotem w stronę stanu, w którym nic nie czułem. Leżałem w pokoju, zapomniany, z oczami wbitymi w sufit, zastanawiając się, gdzie mógłbym przywiązać linę, by zakończyć tę farsę życia.

A jednak, gdy byłem na haju, przemawiał do mnie cichy szept. Był ledwo słyszalny, ale wyraźny. Obiecywał mi miłość — coś, o czym marzyłem, choć wydawało się tak odległe, niemal nierealne. Czasem śniłem o niej, o kobiecie, która mogłaby mnie uratować, choć sny te były rzadkie i ulotne. Wydaje mi się, że to właśnie ten szept, ten subtelny głos, dawał mi siłę do przetrwania. W najgłębszych czeluściach narkotycznych halucynacji dostrzegałem cień nadziei — obietnicę, że nie wszystko jest

stracone.

Czasem prosiłem o pomoc. Ale kto chciałby wysłuchać człowieka zniszczonego nałogiem? Kogo obchodzi głos uzależnionego, który nie potrafi już nawet zadbać o siebie? W głębi duszy błagałem o uwolnienie od samego siebie, by przerwać ciąg destrukcji, który prowadził mnie na skraj przepaści.

Z każdym dniem stawałem się coraz bardziej przekonany, że muszę zrezygnować z przyzwyczajień, które wyniszczały mnie od środka. Ta wędrówka, na którą się zdecydowałem, była destrukcyjna i prowadziła donikąd. Ale mimo to czułem, że gdzieś w tym wszystkim jest szansa — mały promyk nadziei, który dawał mi możliwość zmiany. Może wciąż istniała droga, by zacząć od nowa, by odnaleźć miłość, o której tak długo marzyłem, i przerwać cykl bólu, który sam na siebie nałożyłem.

Chcę się zmienić. Identyfikuję się z artystą, którego celem jest objawienie własnego spojrzenia na świat. Osobliwość ducha, milcząca postawa, instrumentalne spektrum istnienia — wszystko to stało się słabością w obliczu rzeczywistości. Kim jestem? Zadaję sobie pytanie: jakim prawem wymawiam słowa, które dotyczą mnie, mojej osoby?

Może kwitnę jak biały kwiat lotosu, w duchu intelektualnego strumienia, dla którego właśnie piszę. Może jestem obrazem rzeczywistości, a może fikcji. Któż to wie? Pewnie nikt nie określi słowami mojego dzieła, dzieła, którego stałem się niewolnikiem.

Chłonę myśli, przemawiając zarazem, i podążam ku celowi — wyrażeniu wszystkiego, co stanowi enigmatyczną treść. Moje imię, nazwisko, twarz, psychologiczny profil, a nawet melancholijne słowa, które wypowiadam, stały się kresem mojego istnienia. Bowiem jestem tchnieniem treści, którą piszę.

Rozumiem, że stałem się posągiem milczenia w zmyśle życia, lecz teraz mówię. Mówię, by opowiedzieć o tej treści rozmów... rozmów o miłości.

Być jak pióro,
lub jak kropla atramentu, co spływa powoli ze złotej stalówki.
Żyć jak święty, bez grzechu zwątpienia,
obojętności, wyrazów pozbawiony.
Stać się jak posąg — twardy, pewny siebie,
stanowczy, wyrażony głębią podziwu,
a zarazem latać w błękitach nieba,
jak ryba u brzegu strumienia.
Być albo i zniknąć wraz z cywilizacją,
bo życie już dawno zmęczyło.
Grzeszyć jak bliźni, brat człowieczeństwa —
to tylko myśl poety, wybór intryg,
które są głęboko w umyśle.
Przecież mnie nie ma,
i nie ma powietrza, światła,
zieleni, nocy ani dnia.
Nie ma nas, was, wszystkiego —
bo wszystko zniknęło.
Pozostała tylko ryba,
latająca w próżni przestworzy.

Dni mijały, a ja wciąż nie miałem ani domu, ani mieszkania. W końcu trafiłem do hostelu o nazwie Estakada. Wynająłem łóżko w czteroosobowym pokoju za symboliczną kwotę 600 zł miesięcznie. To było pięć lat temu. Pomyślałem wtedy, że to niewielkie pieniądze — da się jakoś przetrwać.

Czas płynął, dni zmieniały się w tygodnie, a pieniądze zaczęły się kończyć. Niestety, moje możliwości także wyczerpywały się. To, co działo się w hostelu, przerosło moje wyobrażenia. Najgorsze było to, że odstawiłem wszystkie leki, myśląc, że już ich nie potrzebuję.

Błąd?

Niestety, tak. Choroba uderzyła ze zdwojoną siłą. Tak gwałtownie, że nawet nie pamiętam, jak znowu znalazłem się we Wrocławiu. Pewnie przyjechałem pociągiem, to jasne. Dworzec PKP we Wrocławiu, potem do Poznania, żeby się umyć w pociągu i trochę przespać. I znowu Wrocław. Piekło zaczęło się na dobre – błąkałem się, dosłownie. Psychoza. Traciłem poczucie czasu, dni tygodnia, słyszałem głosy, miałem manię wielkości i urojenia.

W tym szaleństwie pobiliśmy się w parku z dwoma mężczyznami, prawdopodobnie bezdomnymi. Przyczyna? Mogło ich być wiele. Kiedy pojawiła się policja kryminalna, tajniacy bez mundurów, stawiałem opór, jak zawsze. Doszło do tego, że użyli gazu. Dostałem prosto w prawe oko z odległości pół metra.

Pamiętam, że trwało to chwilę, zanim mnie obezwładnili. Czy to była nadludzka siła, czy może doświadczenie policjantów?

W pewnym momencie wyciągnąłem z kieszeni nóż, ostry jak brzytwa. Podniosłem sweter i, próbując odebrać sobie życie, zamachnąłem się, celując prosto w serce. Pamiętam to dokładnie, bo w ostatnich sekundach usłyszałem krzyk: "Nie rób tego!" Padłem na kolana, a oni mnie obezwładnili.

Kiedy wszystko się rozpadało, powiedziałem im, że cierpię na chorobę afektywną dwubiegunową. Pamiętam, że wezwali karetkę i przez kilka godzin wozili mnie, szukając wolnego miejsca w szpitalu. Niestety, żadnego nie znaleźli. Po ośmiu godzinach trafiłem na granicę czeską, aż w końcu dotarłem do szpitala. W międzyczasie ratownik w karetce złamał mi palec u lewej ręki, za moje pyskowanie.

Znalazłem się w szpitalu w Zgorzelcu. To był Dzień Niepodległości – dosłownie i w przenośni. Po dwóch tygodniach pobytu poznałem swoją obecną żonę.

W tym miejscu zmieniam bieg opowieści, kierując myśli ku przeszłości. A może to jednak przeznaczenie stało się kluczową częścią mojego istnienia? W stanie zmysłów pogrążonych w chaosie, usłyszałem kiedyś głos kobiety, który zapowiedział mi przyszłość. W każdym człowieku tli się jakaś iskra nadziei, a przekaz, który dociera do nas w takich chwilach, staje się impulsem, poruszającym naszą duszę. Uchwycenie tego, co najważniejsze, co tkwi głęboko w sercu, pragnie wydobyć się na zewnątrz, aby stać się dziełem — opowiadaniem, obrazem, rysunkiem, tekstem.

Wydaje mi się, że można sobie wyobrazić, o czym mówię. Niektórzy przecież widzieli fragmenty tej drogi w mediach społecznościowych. Kim bym był, gdyby nie sztuka? Czy istniałbym nadal? Czy wartości, które noszę w sercu, miałyby sens w innym tworze? Prawdopodobnie nie, bo przegrałbym życie — może skończyłbym na torach kolejowych albo zawisł na kablu od drukarki. Miłość opiera się na wybaczeniu, szacunku i zaufaniu.

Pamiętam, jak kiedyś moja mama powiedziała: "Artysta nie potrafi kochać bliźniego." Byłem wtedy

dzieckiem i nie rozumiałem tych słów. Dziś się im sprzeciwiam! Artysta potrafi kochać nie tylko sztukę, ale i ludzi, bliźnich, wszystko, co go otacza. Moje myśli stały się głosem przekazu, narzędziem sztuki. Słowa są istotą mowy, wagą umysłu.

Miłość.

Miłość stała się kroplą naszej krwi,
która spływa z nadgarstków,
jest przysięgą, wiarygodnością,
motywem gwałtownych uniesień.
Kres istnienia, który nadejdzie jak Armagedon,
stanie się piekłem, zjawą poprzedzającą śmierć.
Mężczyźni, kobiety i wszystkie istnienia
spojrzą w oczy, które odbiją się w ich spojrzeniu.
Kres życia, kres miłości, kres czasu.
Wolność milczenia stanie się krzykiem,
prośbą o nasze zbawienie.

Rozdział II.

Myśli i pragnienia

Powiedz, że jestem. Powiedz, że byłem. A jednak, czy w tej grze z istnieniem, w nieustannej walce o sens, nie trwam jedynie jako cień tego, kim byłem? Bawiłem się życiem jak dziecko bawi się światłem, radośnie chwytając jego promienie, choć dobrze wiedziałem, że ostatecznie nie można ich uchwycić. Żyłem chwilą, zmiennością, tym, co ulotne, a teraz... teraz milczę, jakby całe to doświadczenie, każda kropla życia, którą chłonałem, zlewała się w jedną nieprzeniknioną ciszę.

Zegar na ścianie wciąż tyka, ale jego dźwięk stał się jedynie echem czegoś większego, niemal transcendentnego. W jego rytmie odnajduję coś, czego nie potrafię już wyrazić słowami. Czy to prawda o mnie samym? Prawda, która wymyka się formom, bo w swej istocie jest poza zasięgiem słów.

Mój umysł, kiedyś rozedrgany, pełen bodźców i barw, teraz przypomina bezdenną studnię, w której echa dawnych pragnień i wspomnień odbijają się, tworząc odległe i trudne do uchwycenia dźwięki. Szukałem ulgi, która mogłaby przynieść ukojenie, ale każda próba zatrzymania się, każdy głębszy oddech, wywoływał nową trwogę — trwogę życia, nieuchronnego biegu czasu. Cienie na ścianie, niegdyś tak realne, teraz są tylko echem dawnych kształtów. Ledwo widzialne sylwetki tańczą na granicy rzeczywistości i wyobraźni, niczym kwiaty na wietrze — ulotne, niematerialne, chwilowe.

I tak, w tej głębi mojego umysłu, stałem się czymś więcej niż człowiekiem. Stałem się ptakiem, ulotnym stworzeniem, unoszącym się ponad ziemią, ponad codziennością. Nie miałem już formy ani ciała. Byłem czystym ruchem, czystą myślą. Życie i istnienie zlały się w jedno, nierozdzielne, a ja unosiłem się wśród prądów powietrza — niewidzialnych, lecz pełnych siły. Moje myśli, ciężkie od doświadczeń, wznosiły się lekko, jakby na skrzydłach, unosząc mnie coraz wyżej, poza granice tego, co realne.

Każdy dzień stawał się jak osobna strona pamiętnika, pełna znaczeń i sensów, które niegdyś były dla mnie niedostępne. Czas przestał być miarą; stał się opowieścią, ciągłą narracją, w której byłem zarówno bohaterem, jak i autorem. Słowa, kiedyś tak ważne, teraz cichły, jakby ich echo rozbrzmiewało na

granicy słyszalności, ale już nie mogły wyrazić tego, co czułem. Stały się jak dym — ulotne, niemal nierealne, wirujące w przestrzeni, zanikające w bezkresie ciszy.

W tej ciszy, na pograniczu jawy i snu, zacząłem dostrzegać prawdziwe znaczenie istnienia. Wszystkie myśli, pragnienia i marzenia, które kiedyś wydawały się tak ważne, teraz krążyły wokół mnie jak odłamki dawnego życia. Fragmenty wspomnień traciły swoje znaczenie, stając się niemal przezroczyste.

Balansowałem na cienkiej linii między tym, co realne, a tym, co wyobrażone; między tym, co namacalne, a tym, co ulotne. Stałem się świadkiem własnej podróży — podróży bez początku i końca, z jedynie nieskończoną, nieprzerwaną teraźniejszością, w której każdy oddech, każda myśl, stawała się chwilą wieczności.

Wspomnienie z cmentarza.

Moje życie mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej, gdybym nie zdecydował się opuścić miejsca, gdzie powoli staczałem się ku śmierci. Wspomnienie, które teraz przywołuję, jest niezwykle smutne, ale jednocześnie kluczowe, bo to właśnie takie momenty ukształtowały moją obecną perspektywę.

Zanim wyjechałem, często odwiedzałem cmentarz. To miejsce dawało mi spokój, choć trudno mi wyjaśnić, dlaczego właśnie tam czułem się bezpiecznie. Cmentarz stał się dla mnie miejscem refleksji, ucieczką od chaosu, który panował w moim umyśle. Przechadzałem się między nagrobkami, przyglądając się grobom ludzi, którzy już odeszli, jakby ich cisza miała odpowiedzieć na moje pytania o życie i śmierć.

Czasami wpadałem w stany psychodelicznej otchłani, w których moja osobowość się rozmywała, a jaźń gubiła. Zdarzało się, że siadałem przy grobie rodziców i rozmawiałem z nimi, jakby ich duchy wciąż były blisko mnie, choć ich ciała dawno spoczywały pod ziemią. Zdarzało się, że słyszałem głosy zmarłych, a dziwne bodźce przenikały moje ciało, jakby pochodziły z innego wymiaru. Te doświadczenia wywoływały we mnie lęk, wypełniały mnie niepokojem, ale mimo to wciąż wracałem na cmentarz, jakby miejsce to mnie przyciągało.

Pewnego dnia, jak zwykle, udałem się tam ponownie. Spędziłem kilka godzin, błądząc bez celu między grobami, z uczuciem, jakbym szukał miejsca dla siebie. To było najbardziej przerażające — miałem wrażenie, że wkrótce moje ciało spocznie obok moich rodziców. Ta myśl była jednocześnie uspokajająca i zatrważająca.

Kiedy opuszczałem cmentarz, zauważyłem grupę grabarzy. Bez zastanowienia podszedłem do nich i zapytałem, czy nie potrzebują pomocy przy kopaniu grobu. Spojrzeli na mnie zdziwieni, po czym uprzejmie odmówili. Powiedziałem, że dawno nie miałem okazji pracować fizycznie, więc oferowałem swoją pomoc. W głębi duszy przemknęła mi jednak myśl, że może właśnie kopią grób dla mnie.

To był ciemny, zagubiony okres mojego życia. Wydawało mi się, że śmierć była blisko, jakby była jedynym wyjściem z tego stanu. Cmentarz był dla mnie miejscem, gdzie mogłem stanąć twarzą w twarz z nieuniknionym, a jednocześnie uciec od świata, który mnie przerażał.

Wierzę, że jestem częścią planu, który muszę zrealizować, aby moje życie miało sens. Choć wiele zmarnowałem, to równie wiele osiągnąłem w ciągu tych kilku lat spędzonych w Krakowie. Kiedy tworzę — maluję, rysuję, piszę — pojawia się iskra w moim prawym oku, jak mała gwiazda, która prowadzi mnie dalej, wytyczając ścieżki artystycznego przekazu.

Często czuję dziwne mrowienie na szyi i wzdłuż kręgosłupa, zwłaszcza gdy coś złego ma się wydarzyć. To jak ostrzeżenie przed ludźmi lub sytuacjami, które mogą przynieść trudności. Przechodzę przez psychiczną metamorfozę, niezwykle ważny dla mnie proces. Staram się teraz żyć w zgodzie z naturą, choć nie zawsze tak było.

Wierzę, że każdy ma szansę na zmianę w swoim życiu, choć czasem trzeba upaść na samo dno, by się ponownie podnieść — obudzić się w nowej skórce, z nowymi ideologiami i psychiczną zbroją. Nałóg to złudna, destrukcyjna więź, która pochłania człowieka bezlitośnie. Niszczy od środka, wciągając w spiralę samozagłady. Człowiek traci świadomość tego, kim jest i co się z nim dzieje. Nałóg odcina od świata, odbierając zdolność dostrzegania własnych upadków. To pułapka, która niekiedy prowadzi do śmierci. Niewielu ma siłę, by wyrwać się z niej na zawsze.

Czasami, mimo moich wysiłków, doświadczam nawrotów. Trwają tygodniami, a czasem miesiącami. Po tych ciemnych okresach budzę się jednak na nowo, z odnowionym poczuciem siebie, i ponownie podejmuję walkę z nałogiem. Alkohol, narkotyki i inne używki towarzyszą ludzkości od wieków, kusząc iluzją ucieczki od rzeczywistości.

Kiedy przyjechałem do Krakowa z moją kobietą, zamieszkaliśmy na Kazimierzu. Na początku czułem się silny — przeżywałem „miodowy miesiąc” abstynencji i wydawało mi się, że mam wszystko pod kontrolą. Jednak to nie trwało długo.

Po roku straciliśmy mieszkanie i przenieśliśmy się do pokoju w hotelu pracowniczym, w jednej z bardziej osobliwych dzielnic Krakowa. Pracowałem w restauracji, a po kilku miesiącach zapaliłem z kolegą marihuanę. To był moment, w którym zrozumiałem, jak wielki popełniłem błąd. Ogromny błąd.

Od tamtej chwili minęły trzy lata, a mimo to każdego dnia myślę o mocniejszych narkotykach. Jeden skręt wystarczył, by otworzyć drzwi do tej chęci. Z biegiem tygodni, wracając nocami do wynajmowanego pokoju, coraz częściej rozglądałem się za kims, kto mógłby mi sprzedać coś mocniejszego. Potrzeba zażycia czegoś silniejszego — czegoś, co mogłoby mnie zniszczyć — stawała się coraz silniejsza.

Walka z nałogiem jest brutalna i nieprzewidywalna.

Śmierci czas nastał, życie boleścią się stało, tragedia modlitwą skazała cierpienie. Ja miłości oddałem wiarę. Jestem mgłą, wiatrem, światłem. Jestem cierpieniem, bo żyję jak cień w mroku, w skupieniu gwiazd i księżyca. Miłość stała się zbawieniem, a ja, jak promień światła, zniknąłem. Teraz zmagam się ze sobą, jak kamień próbujący unieść się na powierzchni wody. W głębinach zmysłów szukam prawdy, a Jezus trzyma mnie za rękę.

Kiedyś życie wydawało mi się jedynie zbiorem społecznych formuł, w których ideologie były naiwnością, a ludzie odgrywali swoje role w niekończącej się sztuce chaosu. Myślałem, że mogę być częścią tego przedstawienia, ignorując głębię, która kryje się za maskami twarzy walczących o przetrwanie. Teraz jednak dostrzegam, jak szybko wszystko wokół mnie ulega zmianie. Wartości, które kiedyś były dla mnie oczywiste, zmieniają się niczym liście drzew na jesieni.

Z biegiem czasu także ja przeszedłem transformację. Stałem się bardziej ostrożny, ale jednocześnie w wielu aspektach mniej. Zmiany, jakie mnie dotknęły, nie były łatwe do zaakceptowania. Zrozumiałem, że wpadłem w pułapkę iluzji, która z pozoru oferowała chwilową przyjemność, lecz w rzeczywistości prowadziła mnie do coraz głębszego zagubienia.

Nie mogę żyć w cieniu nałogu, jeśli chcę podążać przez życie z moją kobietą. Narkotyki to nieprzewidywalni towarzysze — mogą zabić nagle, bez ostrzeżenia, pozostawiając po sobie pustkę. Ta myśl dręczy mnie, bo wiem, że jeden moment słabości może zrujnować wszystko, co do tej pory zbudowałem. Nawroty przychodzą jak burza — intensywne i nieuchronne. Czasem trwają dwa tygodnie, ale te dwa tygodnie mogą zniszczyć całe życie.

Sny, które mnie nawiedzają, są mroczne i przerażające. W tych koszmarach widzę siebie sięgającego po substancję, która zrujnowała mi wiele lat życia. Te wizje są ostrzeżeniem, przypominającym mi, co mogę stracić. Każda taka noc kończy się w przerażeniu, bo wiem, że mogłoby to oznaczać koniec wszystkiego, co do tej pory osiągnąłem. W tych chwilach jasno widzę, co bym stracił: nie tylko moją kobietę, ale także samego siebie.

To ona jest moim światłem w mroku, moim drogowskazem. Gdyby nie jej wsparcie, być może poddałbym się i pozwolił, by mrok pochłonął mnie całkowicie. Nasza miłość daje mi siłę do walki z demonami, które próbują mnie zniszczyć.

Teraz wiem, że życie to nie tylko walka z nałogiem, ale także walka o siebie, o każdą chwilę, o każdy oddech. Moje pragnienie, by być lepszym człowiekiem i zasłużyć na miłość, motywuje mnie do codziennej walki. To, co było, nie musi definiować tego, co będzie. Przemiana, którą przechodzę, jest moją nadzieją na lepszą przyszłość.

Ciepło i światło przenikają mój wzrok,
obserwuję, jak zmieniają się twarze ludzkości.
Słowami tworzę iluzje naiwności,
jak ogień — płonące zwierciadło przeszłości.
Zmagam się z bólem.
Jestem częścią świata, który mnie otacza,
jak mrok w dzień, jak słońce w księżycu.
Dążę do wieczności, choć wiem,
że moje źródło kiedyś wystygnie,
niczym lava, która zastyga
po wybuchu wulkanu.
Oto, co szepczą milczące anioły,
przekazując mądrość podświadomości.
Urok wiedzy i sprawiedliwości
rozjaśnia się w świetle gasnącego ziemskiego płomienia,
tworząc mowę,
która na zawsze pozostanie opowieścią
o poszukiwaniu prawdy.
W mrokach tego świata, gdzie tańczą cienie,
gdzie ludzkość błądzi w gąszczu iluzji,
ja, wędrowiec, kroczę przez korytarze czasu,
odkrywając tajemnice zapomnianych legend.
Każdy szept aniołów staje się modlitwą,
a każdy krok, niosący nadzieję,
odbija się echem w bezkresie wszechświata.
Z palących się gwiazd, z ognia duszy,
rodzi się nowe zrozumienie.
Ciemność nie jest wrogiem, lecz bratem,
a światło — nie tylko przewodnikiem,

ale lustrem naszej istoty.
Oto ja, w wiecznej wędrówce,
z duszą zanurzoną w bezkresie możliwości,
poszukuję nieuchwytną prawdę,
która, niczym feniks z popiołów,
powstaje, by zabłysnąć w blasku nowego zrozumienia.
Każdy dzień staje się opowieścią,
a każda noc — niezliczonymi snami,
w których przeszłość splata się z przyszłością.
Ja, z sercem otwartym na wszechświat,
wciąż dążę ku wieczności,
gdzie myśli i marzenia w końcu stają się jednością.

Rozdział III.

Morał jest prosty – żyjmy tak, by nasze życie nabrało sensu. Niech przeszłość nigdy nie stanie się źródłem żalu, bo gdy stracimy te najcenniejsze chwile, obudzimy się w pustce, w jałowej przestrzeni. Sam straciłem wiele dni i lat, ale wspominam je uważnie. Mogę dzielić się moimi przeżyciami, ostrzegając innych przed niebezpieczeństwami egzystencji. Wierzę jednak, że każda strata kryje w sobie ukryty sens, głęboki i intrygujący. Nawet to, co wydaje się bezpowrotnie minione, może skrywać znaczenia, które tylko czekają na odkrycie.

Ile dni nam jeszcze pozostało, by być tu – wśród życia, wśród świata, w chłodzie ludzkich spojrzeń, w osobliwościach naszej natury? Tego nie wiem. Wiem tylko jedno – gdy człowiek się zagubi, niemal zawsze szuka wyjścia. Ja szukam i będę szukał, bo to moja misja: wędrować między życiem a śmiercią, badając tajemnice istnienia. Jednak cel jest jeden – przetrwać w świecie zmysłów i ludzi, pośród instynktów i myśli, na granicy jawy i snu. W teatrze życia sens jest jeden – trwanie. Świat nieustannie się zmienia, jak kształty wyobraźni, które należą do nas wszystkich. Jesteśmy iskrą nadziei w tej nieskończonej przestrzeni, bo jesteśmy świadkami jego przemian. Nasza wartość tkwi w tym, że obserwujemy i zapisujemy tę nieskończoność. Dopiero teraz rozumiem, że stałem się bardziej wyrazisty wobec tego, czego wcześniej nie dostrzegałem. Jestem maleńką częścią tego świata, okruchem istnienia.

Dziś muszę przyznać, że mój pogląd wypływa z głębin podświadomości, z ducha i świata ponadczasowego. Jestem zmysłem, który przeszedł wieloletnią szkołę życia, by być tu i teraz, by myśleć racjonalnie i dzielić się sobą z innymi. Jako człowiek rozumiem, że język, którym się posługuję, to tylko część wyrazu myśli, wymagającej skupienia. W ten sposób wyrażam siebie – myśl, która krąży między światem widzialnym a tym, co niewidzialne, między codziennością a wiecznością.

Testament.

Jak wcześniej wspominałem, miewam dziwne sny, niemal wizje, które pojawiają się w najmniej spodziewanych momentach. Są to sny niezwykle wyraziste, przypominające projekcje filmowe. Często je zapamiętuję i analizuję, choć nie zawsze mają pewność spełnienia. Zdarza się jednak, że rzeczywiście się realizują. Kiedy nadchodzi ten moment, słyszę dziwny szum, przypominający dźwięk oceanu i sztormowych fal. Obrazy, które się wtedy pojawiają, są na pograniczu snu i przebudzenia.

Można by nazwać te doświadczenia darem, choć unikam prób przepowiadania przyszłości. Ciekawostką

jest to, że nigdy nie wiem, kiedy nadejdzie dzień ich spełnienia. Są jak przestroga przed nadciągającym niebezpieczeństwem, niczym enigmatyczny trans. Od lat widzę Kraków jako miejsce, w którym zamieszkać. Byłem pewien, że przetrwam najgorsze, aby w końcu tam osiąść.

Pamiętam szczególnie jedną wizję, która wydarzyła się nie we śnie, lecz na jawie. Był to wieczór, a właściwie noc. Położyłem się do łóżka, ale nie mogłem zasnąć. Przewracałem się z boku na bok, starając się zapadać w sen, niestety bez skutku. W końcu, gdy moje powieki opadły pod ciężarem zmęczenia, zacząłem dostrzegać dwa dziwne światła, jakby oczy, w oddali, w głębi mojego umysłu. Widziałem je wyraźnie przez kilka godzin; emanowały delikatnym błękitnym światłem, niezwykle intensywnym. W pokoju panowała głęboka ciemność, a ja wpatrywałem się w te światła w milczeniu, szukając odpowiedzi, czym mogą być.

Te światła wydawały się być wewnątrz mnie, w moim wzroku, w sercu, w duszy. Kiedy otworzyłem oczy, one wciąż były tam, w mroku. Zniknęły dopiero, gdy pierwsze promienie słońca zaczęły przenikać przez okno. Tamtej nocy nie zmrużyłem oka. Wstałem z łóżka i usiadłem na kanapie. Spojrzałem na zegarek – była szósta. Postanowiłem włączyć komputer, ponieważ prowadziłem bloga poetyckiego i chciałem napisać coś nowego.

Wtedy przypomniałem sobie, że zanim zobaczyłem te tajemnicze światła, usłyszałem wiersz, który zapisałem na kartce. Brzmiał on tak:

Deszcz pierwotny oczy przykrył,
smutek duszę pobił.
Deszcz boleści ciało umył,
drewno stolarz gwoździem zbił.
W dłoni trzymał kij prawdziwy,
odbił przyszłość w wzroku siły.
Samotności oddał siebie,
w wieże umarł,
był prawdziwy.
Spotkał siebie gdzieś w pustyni,
karmiąc ziemię, bo był miły.
Wrażliwości go pognała,
ziemia sobą przysypała,
stolarz drewno gwoździem zbił.

W końcu włączyłem komputer i wszedłem na stronę Onetu, gdzie zobaczyłem informację o śmierci Marka Grechuty. To było dokładnie tego dnia, kiedy odszedł. Myślę, że tamtej nocy mi się objawił. Może ktoś uzna to za nierealne, ale przysięgam przed Bogiem – tak było. To naprawdę się wydarzyło.

Symbolem mojego życia stała się piosenka Marka Grechuty „Dni, których nie znamy”. Często utożsamiałem się z jej słowami. Napisałem w życiu wiele tekstów, które teraz czekają na opracowanie, bo powstawały w różnych momentach mojego istnienia. Słowa z tej piosenki: „Pawiem znany ktoś, kto miał dom i sad, zgubił nagle sens i w złe kręgi wpadł...” stały się dla mnie hymnem odrodzenia. Dopiero teraz rozumiem ich prawdziwe znaczenie.

Te słowa są dla mnie jak drogowskaz. Poezja to strumień podświadomości, który otwiera przed nami świat pełen różnorodnych interpretacji. Żyjemy w dziwnym świecie, ale czuję, że moje istnienie ma sens

– zresztą każde życie samo w sobie ma sens. Każdego dnia napotykam nowe doświadczenia, odkrywam coś innego. Uważam, że nie powinniśmy się nudzić, bo życie jest ulotne.

Czasami jednak czuję, że się poddaję, psychicznie upadam, żyjąc wśród ludzi. Czy to oznaka słabości? Może lęku? Może braku pewności siebie? Być może. Ale wiem jedno – kiedyś ktoś wspomni moje imię, mówiąc, że w moich słowach była jakaś racja.

Kiedy dowiedziałem się o śmierci Marka Grechuty, zszedłem po stromych, krętych schodach do kuchni. Nogi uginały mi się pod ciężarem chaosu myśli. Podeszedłem do mamy i zapytałem, czy Grechuta mógłby być moim ojcem. Odpowiedziała tylko dwa słowa: „Tak”. Nie wiem, dlaczego to powiedziała, ani co miała na myśli.

Kilka tygodni później, zadałem jej to samo pytanie, tym razem spokojniej. Kiedy powiedziałem, że chcę pojechać na grób Grechuty, zaprzeczyła, że kiedykolwiek wspomniała o tym wcześniej. Ale dla mnie to już nie miało znaczenia. Faktem jest, że to powiedziała, choć nigdy nie poznam prawdy. Czasami wracam myślami do tamtego dnia.

Wiem jedno: nie chciałbym, aby to była prawda. Nigdy nie mamy pewności co do naszej tożsamości, ale zastanawiam się, czy ta wiedza coś by zmieniła. Pewnie nie. Trzeba po prostu być sobą, nie utożsamiać się z nikim innym.

Testamentem mojego życia jest to, co mam – zarówno to, co dostrzegalne, jak i to, co niewidzialne: życie, miłość, relacje. Ważne jest to, kim jestem teraz. Każdego dnia staram się odkrywać siebie na nowo, z całym bagażem doświadczeń, które mnie ukształtowały. Nieustannie dążę do tego, aby być autentyczny i odnajdywać sens w codzienności. W tym właśnie dostrzegam prawdziwą wartość istnienia.

Nawet teraz, pisząc te słowa – które zacząłem wczoraj, nie wiedząc, że 9 października to rocznica śmierci Marka Grechuty – przypominam sobie, że trzy lata temu, tego samego dnia, udostępniłem na Facebooku jego piosenkę „Droga za widnokręś”. To niezwykle, jak często objawia się on w ważnych momentach mojego życia. Dziwne, bardzo dziwne. W rocznicę jego śmierci zawsze czuję jego obecność – jakby był aniołem stróżem, który chroni mnie przed złymi wyborami i upadkami.

Przeszywa mnie dreszcz na myśl o tym, dlaczego tak się dzieje. Ale wiem jedno: wszystko ma swój sens. Nic nie dzieje się bez powodu. Warto szukać znaczenia w życiu, w dniach, a nawet w chwilach. Dla mnie życie Marka Grechuty jest dowodem, że warto wierzyć w siebie. Kim bym był, gdybym nie próbował odnaleźć sensu w swoim istnieniu?

Wizje w otchłani ciszy.

Gdyby nie wiara i pewność siebie, nigdy nie dotarłbym do miejsca, w którym obecnie się znajduję. W każdym człowieku tkwi iskra nadziei, coś, co nadaje sens naszym działaniom. Przeżyłem wiele, ale wciąż trzymam się nadziei, że dożyję starości. Choć śmierć czuję niemal za plecami, jakby była częścią mnie, to rozumiem, że wszystko, co się wydarzyło, miało swój sens. Każde doświadczenie to element prowadzący ku zbawieniu w grzechu pierworodnym.

Kim bym był, gdyby nie to, co wydarzyło się w moim życiu? Trudno znaleźć rozsądną odpowiedź, bo przeszłości nie da się cofnąć ani zmienić dokonań. Opisałem już swoją drogę ku odrodzeniu, lecz teraz chcę się cofnąć kilka lat przed wyjazdem do Krakowa. Chcę opowiedzieć o wizji, która wydarzyła się dawno temu.

Była bezsenna noc. Próbowałem zasnąć, ale chaos w moim umyśle wywoływał lęk — byłem w stanie narkotycznego uniesienia. Leżałem, patrząc w ciemność, w jej niekończącą się otchłań. Nagle zobaczyłem dziwną projekcję, niemal religijną.

Ujrzałem twarze brodatych mężczyzn na pustyni, otwarte usta, ulotne słowa, głosy. Przed moimi oczami pojawiały się dziwne, nieracjonalne obrazy — krzyże, ludzie ukrzyżowani w cierpieniu. Trudno mi to wszystko opisać dokładnie, bo doświadczenie było intensywne i niepojęte.

Widziałem dużego psa, sukę karmiącą dzieci swoimi piersiami, oraz dziwaczne postacie mężczyzn, którzy w skupieniu, jakby w rytuale, modlili się na głos. Później pojawiła się kobieta. Stała na wielkiej skale i patrzyła mi prosto w oczy. Jej głos wypełnił moje myśli: "Podejdz". Mówiła łagodnie: "Synku, nie bój się. Wszystko przeminie. Chaos umilknie, a cisza stanie się skupieniem twojej modlitwy w świetle Pana".

Zdecydowałem zapisać kilka z tych wizji, które kształtują moją osobowość. Są pełne majestatu i przekazują istotne wartości — jak grom z jasnego nieba. Czuję, że ich sens odsłania moją prawdziwą naturę. Wspomnienie tamtych chwil wypełnia mnie różnymi impulsami — czasem są to dobre wspomnienia, czasem złe. Czuję, że jestem podzielony między wartości duchowe a niepewność co do siebie samego. Moje życie to głębia niekończących się poszukiwań. Pisanie pozwala mi zanurzyć się w swoistą, prozaiczną świątynię zmysłowości, która prowadzi mnie do skupienia.

Jestem człowiekiem i moim prawem jest prowadzić życie zgodnie z wartościami i poglądami, które czasem przybierają liberalny charakter wobec otaczającej mnie rzeczywistości. Miłość w człowieku to dar — wzlot duszy, objawienie duchowości, nadziei i słowa. Jednak czasem trudno mi rozstrzygnąć, czy dobrze robię, mówiąc o tych sprawach. Staram się opisać swoje życie, tę część siebie, która jest najbardziej intymna.

Czy moje wizje i słowa są jedynie złudzeniem, które przepowiada wartości życia? Raczej nie. Są częścią mnie, rytuałem mojego istnienia, ale także życiem moich bliskich.

O Panie, którego nawołują wierni,
Niech Twoje imię wiecznością się stanie,
Na ziemi, na niebie, w wszechświecie całym.
Niech wszystko, co było, prawdą pozostanie,
Prawdą, która w Twoich słowach zaklęta,
Jak sen, jak wizje, jak ptaki w locie,
Jak całe życie w bezkresie stworzenia,
Jak anielskie chóry w skupiskach niebios,
I wszystkie ich głosy, które słyszę,
Bowiem wierzę, o Panie Wszechmocny.

Kiedy miałem siedem albo osiem lat, zdarzyło się coś, co pamiętam do dziś. Była wczesna wiosna, a ja wychowywałem się na obrzeżach miasta, gdzie moi rodzice prowadzili gospodarstwo rolne. Mieliśmy ogromny ogród, sad i szklarnie. W obejściu był koń, krowy i świny. Za sadem ciągnęła się łąka, a na jej skraju pewnego dnia znalazłem martwą maciorę, która była w ciąży.

Jej brzuch wydawał się wciąż żywy – nabrzmiały, jakby coś w nim się poruszało. Stałem tam, zafascynowany, patrząc na tę dziwną scenę. Niedaleko płynął strumień, który czasem nazywaliśmy rzeką. Wyobrażałem sobie, że ta maciora nie umarła, że tylko śpi. Nagle usłyszałem dźwięk, który trudno było opisać – jakby muzykę, ale nieznaną. Spojrzałem w niebo – było bezchmurne, a słońce stało wysoko, jakby było południe.

Tamten dzień utkwił mi w pamięci, bo wydarzyło się wtedy coś niezwykłego. Zamknąłem oczy i zacząłem iść przed siebie, nie patrząc na drogę. Po chwili upadłem, rozbijając sobie kolano. Krew powoli spływała po mojej nodze, a ja patrzyłem, jak tworzy na skórze czerwone wzory. Kiedy wstałem, znalazłem się pośród kwiatów na łące, otoczony ciszą i spokojem.

Nagle usłyszałem głos – dziwny, jakby wołanie, które przyciągnęło mnie w stronę małego, betonowego mostku. Tam siedziała starsza kobieta, której nigdy wcześniej nie widziałem. Miała na sobie czerwoną chustę w zielono-niebieskie paski, a jej twarz była pokryta głębokimi zmarszczkami, przypominającymi wysuszoną ziemię. Jej oczy były czarne jak węgle, lśniące, przenikliwe. Spojrzała na mnie i powiedziała: „Siądź, chłopcze, chcę z tobą porozmawiać.”

Usiadłem obok niej, mimo że czułem pewien niepokój. Kobieta wyciągnęła rękę i poprosiła, bym ją chwycił. Niepewnie zrobiłem to, a kiedy nasze dłonie się spotkały, poczułem dziwne ciepło. Zaczęła mówić w języku, którego nie znałem, ale choć nie rozumiałem słów, coś w jej tonie sprawiało, że chciałem jej słuchać. Czułem strach, ale byłem jak zahipnotyzowany, nie mogąc się ruszyć. Po chwili pobłogosławiła mnie i powiedziała, żebym odszedł.

Tak zrobiłem. W nocy miałem pierwszy z serii dziwnych snów, które zapamiętam do końca życia. Śniło mi się opuszczone miasto, zniszczone, pełne zgliszcz. Wędrowałem pustymi ulicami, szukając ludzi, którzy mogliby mi pomóc odnaleźć drogę do domu, ale nikogo nie było. Każda kamienica, każdy budynek wyglądał, jakby przed chwilą został zniszczony, a ja byłem tam sam.

Od tego czasu sny te towarzyszą mi co jakiś czas. Nie są one precyzyjne, pełne szczegółów, ale mają swoją głęboką symbolikę. Dopiero teraz, po latach, widzę, że ten sen mógł być pierwszą zapowiedzią tego, co miało nadejść – utraty domu i wszystkiego, co znałem.

Jako dziecko chorowite, często zapadałem na anginę. Wysoka gorączka, która towarzyszyła tym epizodom, paraliżowała mnie nocą, kiedy spałem. Zawsze powracał ten sam sen, powtarzający się niczym wizja, niemal identyczny w swoich szczegółach. Pamiętam go dokładnie, bo objawiał się cyklicznie i był nasycony symboliką, której nie mogłem wówczas zrozumieć.

W moim śnie widziałem wielki tunel. Na jego końcu, w oślepiającym świetle, kręciła się ogromna spirala. Miała kolory ciemnego brązu, bieli i szarości, a jej ruch wydawał się nieskończony, niemal hipnotyczny. Na początku tej przestrzeni stał mężczyzna, trzymając walizkę w dłoni. Szedł powoli w głąb tunelu, zmierzając ku światłu.

Towarzyszyło temu uczucie nieopisanego lęku, pustki i przerażenia. Miałem wrażenie, że świat wokół mnie się rozpada, jakby rozbijał się na tysiące drobnych kawałków. Czułem, że to koniec, że umieram. Budziłem się wtedy z krzykiem, zalany łzami, wołając ojca. On, z niezmienną cierpliwością, brał mnie w ramiona, przytulał i uspokajał.

Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego te wizje zawsze miały ten sam przebieg i pojawiały się jedynie podczas gorączki. Po latach, gdy odwiedziłem grób Marka Grechuty, zauważyłem w hotelu na ścianie duży obraz. Przedstawiał ogromną spiralę, podobną do tej z mojego snu. Było to dziwne, ale nigdy nie potrafiłem zinterpretować tego snu ani wyciągnąć jednoznacznych wniosków. Może był to tylko wytwór chorego umysłu, a może coś więcej – ostrzeżenie czy zapowiedź czegoś nieuchwytnego?

Te sny na zawsze pozostały częścią mojego życia, jak obrazy z poprzedniego wcielenia lub przejaw czegoś, co dopiero miało się wydarzyć. Były niezwykle istotne, ponieważ stanowiły część mnie. Zawsze zdawałem sobie sprawę, że wiele wydarzy się w moim życiu. Że moje „ja” zacznie się zmieniać wraz z upływem czasu.

Wiem, że wszystko ma sens i że każda nowość przynosi naukę, która pozwala zrozumieć, dokąd prowadzi nas to inspirujące życie. Przeszłość jest obrazem objawień życia, częścią samego siebie. Pochłania wszystko, co było, dając nadzieję, że to, co dopiero się wydarzy, będzie progiem nowego życia.

Już jako dziecko byłem zafascynowany sztuką piękną. Oglądałem książki zawierające religijne obrazy, próbując zrozumieć ich znaczenie. Godzinami wpatrywałem się w dzieła, pogłębiając swoją wyobraźnię. Wszystko to, jak sądzę, dlatego, że moje „ja” identyfikowało się zarówno z przyszłością, jak i z cierpieniem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Gred, dodano 11.10.2024 22:47

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.